

Michał Szczurowski: On-Słoik

Czułem, że wir mnie wciąga, że tkwi w tym jakaś zakręcona jak warsiaski słoik prawda o mnie, o mieście, o Polsce nawet, ale znów nie dawałem sobie rady z tym nadmiarem zawirowań. Zamiast zrozumienia przyszła lękowa drzemka...



Czułem, że wir mnie wciąga, że tkwi w tym jakaś zakręcona jak warsiaski słoik prawda o mnie, o mieście, o Polsce nawet, ale znów nie dawałem sobie rady z tym nadmiarem zawirowań. Zamiast zrozumienia przyszła lękowa drzemka...

Akurat mijalem drugą granicę, wracając koleją z podróży po Niemczech (głównie Weimar i Lipsk), kiedy coś musiało mnie ugryźć. Niczego nie jadłem, czytałem... Wcześniej ten ciemno ubrany księgarz w paradnej, czerwonej kamizeli wydał mi się nieco podejrzany, ale przecież nie na tyle. Bo to, co się zaczęło dziać potem! Ech...

Zaczęło się od wzroku: fakt, nigdy nie miałem problemów z dostrzeganiem napisów na billboardach albo czytaniem ludziom książek przez ramię w autobusach i tramwajach. Ale to? Szedłem akurat Nowym Światem w stronę uczelni, to był poranek dnia po powrocie, podniosłem wzrok i uświadomiłem sobie, że widzę palmę na skrzyżowaniu – półtora kilometra dalej... i wszystkie te jasne kamienice po drodze. I EMPiKa na rogu. Jak to możliwe? Niby było słonecznie, ale taki dystans, z taką ostrością i to przez głowy przechodniów? Przestraszyłem się. Zwłaszcza, że od razu zdałem sobie sprawę, że na krótkie dystanse też widzę lepiej – włącznie z pojedynczymi włóknami ubrań mijających mnie ludzi, kraterami porów ich skóry, geologicznymi wręcz wypiętrzeniami ich pryszczy...

To był trudny moment: nadmiar bodźców spowodował ból głowy i zawroty: z półprzymkniętymi powiekami, zasłaniając oczy rękoma wróciłem do domu, śląc jeszcze szefowi katedry kurtuazyjnego esa, po czym ofen zwymiotowałem. Przy czym: nie przestałem widzieć zbyt dobrze! Wkrótce, mój słuch też się wyostrzył. Znacznie. Zacząłem słyszeć, powiedzmy, wszystkie rozmowy za oknem: kilkaset naraz mówiących osób. Ściana dźwięków, którą z trudem tylko nawigowałem. Niewyobrażalny bełkot: zakupy, problemy małżeńskie, odbieranie dzieci z przedszkól, przechwałki, kto więcej wypił a kto wypalił, jakiś

muzyczny grajek śpiewający religijne piosenki, rozmowy o hamburgerach, szczegóły współżycia i coś o powtórny przyjsciu Chrystusa. Z mieczem...

Efekt był dla mnie zaskakujący: pod wpływem tych wszystkich bodźców zapadłem się w siebie. Nie byłem w stanie przetworzyć tego ogromu informacji: bo moje mieszkanie równocześnie miało być czymś innym: minimalistycznie urządzone umiarkowanie zabałaganioną kawalerką chronicznego kawalera, stało się, przeciwnie, potwornym gąszczem cieniutkich niteczek, pyłków, plam faktur na, jak mi się wydawało wcześniej, idealnie wygładzonej ścianie, odprysków płyty paździerzowej mebli itd. Gąszcz dotyczył też dźwięków: chrząknięć zza ściany, szumu gazu w rurze, którego nigdy wcześniej nie słyszałem, dochodzącego zza ściany walenia opuszką palca o pilot do telewizora itd. Ogólnie, rzeczywistość stała się przerażającym, gęstym jak smoła, włóknistym, kipiącym strumieniem doświadczeń, przez które przedzierałem się mozolnie jak robak. Przez ułamek sekundy miałem wizję, jak rodzina, krzycząc coś po niemiecku, goni mnie z kijem, żeby wypędzić lub zabić, ale niejasny obraz minął, a ja bardzo zmęczony, upadłszy na podłogę cieszyłem się, że mieszkam sam.

Nie poszedłem do lekarza, bo obawiałem się ludzi. Zawlokłem się do mojego niezwykle niejednorodnego biurka i zacząłem to googlać. To był błąd. Nadmiar informacji sensorycznych połączony z nadmiarem informacji intelektualnych (i ten potworny warkot silniczka mojego bezgłośnego komputera!) przebrał miarę: zemdlałem.

Obudziłem się wieczorem. Ponieważ był wrzesień, było już w zasadzie ciemno. Zamknąłem komputer. Mieszkanie widziałem dobrze, ale nie przesadnie: ciemność ograniczyła nadmiar zmysłów, założyłem jeszcze ciemne okulary, do uszu wepchnąłem watę i nałożyłem dźwiękoszczelne słuchawki. Mogłem wreszcie pomyśleć, co się ze mną dzieje. I coś zjeść. Tu pierwsze zaskoczenie: mój węch pozostał w zasadzie bez zmian. Wydawało mi się, że dostrzegam wiązki sztucznego tworzywa w mojej kanapce z serem, ale ich nie czułem. Miałem za to niezwykle apetyt. I siłę: niechcący zgmiotłem mój ulubiony kubek, totalnie zasyfijając się kawą. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że moje mięśnie stają się hm... jakby stalowe. Byłem też pewien, że byłbym w stanie przebiec maraton albo wbiec na szczyt PKiN, skąd one się wzięły?

Nie pamiętam, ile to mogło trwać. Kilka dni pewnie. Ledwie funkcjonowałem, na szczęście zaoszczędzone rozsądnie niemieckie stypendium starczało na podstawowe rzeczy kupowane w pobliskim sklepie Społem. Udawałem chorego, a że wiało, mój szalik, nauszniki były zrozumiałe, a ciemne okulary brano pewnie za przejaw ekscentryczności. W mojej artystowskiej części Warszawy – nikt mi złego słowa nie powiedział.

Pierwsze trudne wyznanie – mieszkałem sam, bo nie miałem nikogo bliskiego. Wszystkie moje związki kończyły się szybko. I od razu drugie – zerwałem też relacje z rodziną. Za duży bałagan, żeby go wlec ze sobą. Tak myślałem. Bo w gruncie rzeczy powodziło mi się dobrze: tę kawalerkę już w znacznej mierze spłaciłem, a była na Saskiej Kępie, na przedłużeniu ciągu kebabiarni rozsprzestrzeniającego się miarowo od Stadionu Narodowego w stronę Wału Miedzeszyńskiego, do tego miała

niezły balkon! Prawie wolontarystyczna praca asystenta na uczelni łechtała moją próżność, podobałem się studentkom, choć może i studentom też, i występowałem o granty na badania dotyczące antropologii kultury popularnej, natomiast normalne pieniądze miałem z dorywczej pracy w reklamie i fuch tłumaczeniowych, bo nieźle znałem angielski i niemiecki. Choć projekty skapywały nieregularne, dawałem radę i jeszcze starczało na imprezy, co jakiś czas. No i te wyjazdy, sympozja – jak ten do Niemiec.

Czy byłem samotny? Nawet nie wiem. Byłem zajęty sobą, przygotowywałem zajęcia, na których tłumaczyłem na przykład, że to kultura wielkomiejska wydała postaci takie jak Superman i Spiderman, i że trudno ich sobie wyobrazić (zwłaszcza tego drugiego) szukającego oparcia dla swojej sieci w jedno, dwupiętrowych budynkach zabudowy Elbląga czy Suwałk. Wyobrażałem sobie przy tym nieszczęsnego pajęczaka, jak zamiast spuszczać się na swej sieci lotem Tarzana, próbuje wystrzelić się jak z procy na kwadratowym dwupiętrowcu wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia albo w centrum Rawy Mazowieckiej. Wykładowca w trampkach – tak się definiowałem. Może trochę przeszkadzał mi kompletny brak misji we wszystkich moich działaniach. To wszystko.

Po tygodniu doszedłem do siebie. Eksperymentując z zakresem i rodzajem moich nowych umiejętności doszedłem do punktu, w którym wystarczyły mi ciemne okulary, słuchawki na uszach i ewentualnie kaptur. Przyjmowałem rzeczywistość już dość płynnie, jakby mózg przyzwyczyił się do nowego obciążenia. Byłem gotowy, by zacząć korzystać.

Pierwszy raz poczułem moc, kiedy jadąc metrem, uświadomiłem sobie, że jestem świadkiem kradzieży. Rzecz przebiegła w sumie dość stereotypowo, jakiś elegancko wyglądający spryciarz, w nieźle skrojonej marynarce (choć metka Armaniego była wyraźnie przyszyta nicią innego koloru niż pozostałe szwy), stojący bokiem do drzwi, patrząc przed siebie, subtelnym w swoim mniemaniu gestem, sięgnął ręką do torebki zmęczonej starszej kobiety siedzącej za nim, na ostatnim z rzędu siedzeń (czemu w Warszawie nie ma między nimi szyby?). Był umiarkowany tłok, a ja stałem po przekątnej od niego, przy przeciwległych siedzeniach, próbując, *nota bene*, czytać...

Nie bardzo wiem, jak to się stało – dopiero później zrozumiałem, że była to wypadkowa sprężystości ruchu, odpowiedniego ustawienia ciała i kąta stawiania kroków – nie przepychając się, jakby przenikając przez tłum, stanąłem naprzeciwko mężczyzny, silnie chwyciłem go za nadgarstek, teraz już bezpieczny w szerokiej kieszeni atłasowych spodni, skierowałem go z powrotem nad torbę kobiety i przycisnąłem dostatecznie mocno, by puścił doń ściskany w ręce portfel. Cała ta akcja mogła trwać 10 sekund, może nawet nie tyle. Był równie zdziwiony, co ja. Jakiś skejt (bo tak pewnie wyglądałem w moich radykalnie żółtych trampkach i spadającej na oczy bluzie), przestawił go podczas akcji, którą miał zapewne doskonale przećwiczoną.

Moją uwagę, kiedy zastanawiałem się, co tak naprawdę miało miejsce, przykuły dwa inne fakty: oddczułem dziwną, głęboką nieznaną mi wcześniej satysfakcję z miażdżenia mu ręki i, nim zdążył coś powiedzieć, podniosłem ciemne okulary i, narażając się na nieapetyczny widok różowej siatki żyłek w jego żółtawo-kremowych białkach, spojrzałem mu w oczy. Spojrzałem z chłodną nienawiścią!

Wysiadł na następnej stacji, w chwilę po tym, gdy wreszcie puściłem jego dłoń. Nie wyglądał na zadowolonego z siebie. Nie odwrócił się w moją stronę, głowę miał spuszczoną i lekko podbiegał, drobiąc jak baletnica. Nie stało się nic więcej – nikt nie zauważył niczego podejrzanego. Wyglądałem pewnie, jakbym chciał wysiąść, a potem się jednak rozmyślił. Może miałem trochę szczęścia, że stał na lewo do kierunku jazdy, a dojeżdżaliśmy do Centrum.

Niby niewiele, ale byłem głęboko wstrząśnięty. Jechałem na pierwsze zajęcia, specjalny wrześniowy kurs wprowadzający – kolejny genialny element walki o tzw. studenta, który planowałem zacząć od analizy monologu agenta Smitha z *Matrixa*. Zawsze od niego zaczynałem z nowymi. Był to mój pokaz siły też dlatego, że ten ponury obraz ludzkości jako wirusa planety, który niszczy wszystko, co się dokoła dzieje, był moim podstawowym poczuciem winy i motorem licznych prób przejścia na wegetarianizm i weganizm, kończonych regularnie na kolejnych stacjach kebabowej drogi krzyżowej, którą nieraz wracałem od stadionu. Opisując kluczowe miejsce tej przemowy w filmie, skupiając się na intelektualnych i emojconalnych podstawach takiej pozycji, byłem chyba wiarygodny, bo nawet swoimi oczami sprzed transformacji byłem w stanie zaobserwować, że rozbrykana początkowo grupa studentów stopniowo cichła i zaczynała z coraz większym zaangażowaniem słuchać o nikczemności człowieka w kontekście zanieczyszczeń, wojen, zabijania zwierząt i siebie nawzajem oraz child labour.

Tym razem przeciwstawiłem się złu. To ja byłem rycerzem. Mój gniew był zrozumiały – złościłem się na parszywość tego typu, złościłem się niejako w imieniu tej nieświadomej niczego kobiety, a nawet całego

społeczeństwa, które on oszukiwał. Byłem prawy. To było mocne uczucie. Coś we mnie szczechnęło, że chcę je powtarzać... że muszę.

Jak przygoda, to tylko w Warszawie – kolejna okazja ku temu dobru zdarzyła się jeszcze w tym samym tygodniu (bo tamto, o ile pamiętam, musiało być w poniedziałek). Tym razem, w moich radykalnie żółtych trampkach, ciemnych okularach i bluzie ze sporym kapturem, człowiek niemal bez twarzy, rozpoczynałem wieczorny powrót na Saską od nowego metra przy stadionie. Zamyślony nad *Matrixem*, bo zajęcia prowadzone po akcji w metrze ostatecznie przybrały nie całkiem oczekiwany obrót i studenci przejęli kontrolę, tłumacząc przeciwnie mnie, że Neo jest jakoby postacią chrystocentryczną, co nijak nie mogło mi się zmieścić w głowie, zamiast czekać na autobus, ruszyłem pod wiaduktem (po którym, przyznaję dostrzegłem, malowniczo sunęło Pendolino) w stronę pozostałości po jarmarku „Europa.” Tak to, przemknęło mi przez myśl, zamiast korzystać z efektów metamorfozy zdołałem je niemal zupełnie zdusić. Ech.

Nie wspominałem wcześniej, nie było okazji, ale nie jestem szczególnie wysoki, ani szczególnie barczysty, a moje zamyślenie dodatkowo zgarbiło mnie i uczyniło w ogóle nieefektywnym (poza trampkami, mind you). To o tyle istotne, że zapewne zadziało jak dodatkowa motywacja, pop. płachta na byka, a konkretnie dwóch byków, którzy już tam kogoś okładali, a widząc zbliżające się chuchro, byli pewni dalszego łatwego łupu. Byki jak to byki, wyczynowcy – sterydami mocne byki anaboliczne. Jednocześnie, chłopak, którego trzymali nie był wcale taki słaby: miał prawie dwa metry i nazywał się Tomasz, tak było napisane na identyfikatorze z McDonalda, leżącym obok jego wypatroszonego plecaka. Hamburger wołowy.

– Człowieku! Pies przewodnik ci spierdolił? – zarechotał jeden z typków dostrzegając moje nieodpowiednie do pory dnia okulary. Moje przewrażliwione ucho wyłapało, że owo „Człowieku” zabrzmiało niemal jak „Słoiuku”. Porzucając bez żalu chrystocentryczne frustracje, zwróciłem dodatkowo uwagę, że miał wytatuowaną łezkę pod okiem, usłyszałem też, że mógłby sprawdzić oskrzela. Był dość wysoki i żyłasty. Silnym chwytem trzymał ręce Tomka za jego plecami.

– Zdążył mu jeszcze zaszczać buty! – dorzucił drugi. – Nie omieszkał, kurwa! – Był niższy i tęższy od tamtego, jak Flap od Flipa. Skrupulatnie przeszukiwał chłopaka szukając pewnie telefonu, który dostrzegłem w tylnej kieszeni spodni, ukryty umiarkowanie długą podkoszulką. Rozczarowałyby się, bo był to jeden z tańszych modeli Nokii. Nim jednak zdążył go znaleźć, uderzyłem. Jak w metrze – w ogóle się nie zastawiając, jakbym trenował to całe życie: dwa szybkie kroki do przodu, uderzenie w podbródek, odskok, kopnięcie od góry w kolano drugiego (który puścił ręce ofiary i zrobił krok w moją stronę), uderzenie z pięści w jego skroń. Tyle.

Podnosili się, zdziwieni i wściekli, wygrażając mi, ale nie śmiąc podjąć dalszej walki. Tupnąłem na nich radykalnie, żółtym trampkiem, i warknąłem jak pies – sami od tego zaczęli. Miało być żartobliwie, ale wyszło dość nieprzyjemnie – uciekli, a prostujący się dryblas łypnął niespokojnie, znów lekko się kuląc. Co dziwne, telefon jednak znikł z jego kieszeni. Czy może mi się wydawało?

– Won, do budy paszli! – wyjaśniłem mu, siląc się na uśmiech, ale wyszedł grymas. Zaczął szybko zbierać fanty z chodnika i też poszedł do budy, zostawiając mnie samego z nadmiarem przemyśleń. Cała ta scena, poza uczuciem chwilowego adrenalinowego spełnienia, wywołała u mnie niejasny niesmak – pogardę dla osiłków, pogardę dla niemego wołu, złość na siebie, że znów nie wygłosiłem żadnej mowy umoralniającej. A jednak, trochę jakby przy tym urosłem.

Aliści, nie był to sprawy koniec. Moje zdjęcie z miną wykrzywioną wyż. wspom. warczeniem zobaczyłem następnego dnia rano na TVNie. Musiał skubany pyknąć fotę. Co więcej, z tego, co zrozumiałem, mówiono o mnie niemal jak o superbohaterze. Dopiero po chwili padło, o jakim. W pierwszej chwili myślałem, że się przesłyszałem, potem przez dłuższy moment rozważałem, czy by tego Tomka jednak nie dorwać i należnie nie przetrzepać (wraz z pamięcią Nokii). Aż w końcu parsknąłem gorzkim śmiechem: Ha. Ha. Zostałem oto Super Słoikiem!

Wyłączyłem telewizor i ciężko osunąłem się na ikeowy fotel, bo głowa ciążyła mi tak, że musiałem ją na coś złożyć. Znów zalała mnie trudna do nawigowania fala, tym razem myśli i obrazów. Traf chciał, że może rzeczywiście byłem przyjezdnym. Skądś tam. Chciał też, żebym zawodowo (w sumie to hobbystycznie, ale akademicko) zajmował się superbohaterami. Zresztą, w komiksy od dzieciństwa uciekałem – od dzieciństwa. Wtedy zasypiając roiłem sobie, że sam staję do walki z otaczającym mnie złem. Że miażdżę tych i owych, a innych, przeciwnie, ratuję. Wtedy to miało wiele sensu, choć się, oczywiście, nie zdarzyło. A teraz? Część mnie wrzeszczała, że to co najmniej niesmaczne w

mieście, w którym nieuzbrojona młodzież z kobietami i dziećmi przez ponad dwa miesiące stawiała opór największej militarnej potędze Europy...

Ale ta druga część mnie. Ho, ho. Ta zaszalała: pełną parą płynęły obrazy dizajnu stroju (opaska na kaputrze podkreślająca okulary? Odporne na kule trampki z kewlaru. Odporne na ogień trampki z azbestu...), Myślałem nad potencjalnym symbolem – plakietka w kształcie słoika na piersi albo po prostu „dekielek”? Ktoś w rodzinie zbierał słoiki... Myślałem, którzy szukać potrzebujących mojej opieki (wyszukanie/ stworzenie kryminalnej mapy Warszawy), rozważałem przyjaciół pod kątem, który mógłby być moim giermkim/ kamerdynerem, jakbym miał jakiejkolwiek możliwości finansowe podjąć się takiego wyzwania. Wyobrażałem sobie tworzenie centrum dowodzenia w piwnicy, zastanawiałem się, czy jestem w stanie legalnie (a i fizycznie, bo nie byłem pewien jej lokalizacji) połączyć ją z mieszkaniem – było nie było znajdującym się na parterze. Zastanawiałem się, czy jest możliwe utrzymanie prywatności w takiej sytuacji i jak ewentualnie miałbym oznajmić miastu moje Alter Ego (znaczy siebie, nie Słoika, którego oznajmił im TVN). Żałowałem, że nie jestem milionerem i playboyem jak Tony Stark, IronMan. Ja, jeśli liczyć pokrywkę, miałem być Glass and Iron Manem.

Ale też: jakie konkretnie miało być to moje wyzwanie? Obrona wszystkich mieszkańców dwumilionowej metropolii? Metro-Polski? Bo widzę i słyszę więcej? Bo może trochę szybciej biegam i potrafię zgnieść kubek do kawy łatwiej niż inni?

Równolegle szukałem w głowie jakiegoś wzorca, choćby jednego polskiego superbohatera: Pan Wołodyjowski i Zagłoba... nie dość, że postaci sprzed niemal pół millenium, to i stworzone kilka epok wstecz i to do tego rycerze. Janek Kos? Heros sowieckiej propagandy, poza tym zwykły żołnierz. Może tylko gwoździe czołgiem wbijał. Albo to Grigorij... Pilecki? – nie dość, że żołnierz, to jeszcze prawdziwa postać, do tego nie wiadomo święty czy psychopata... Kapitan Żbik? Kajtek i Kokosz? Tytus de Zoo? Czemu nie wydaliśmy żadnego porządnego superbohatera, na którym mógłbym się łatwo wzorować? Gdzie swojski kapitan Ameryka? Punisher? Green Lantern? Lobo? Nie wszyscy oni do poruszania się potrzebowali zabudowy wysokościowej! Nie wszyscy wymagali wysokonakładowej prasy...

Niemal nie ruszając głową, z niechęcią i wyrzutem spojrzałem za okno, na, a jakże, dwupiętrowy dom kultury. Jak mu nie wstyd! Dom kultury, która nie wydała żadnego nadczołowieka! A zresztą, pewnie i tak na końcu okazałoby się, że był Bolkiem. Przy naszej mentalności nie opłacało się być superbohaterem, pewnie dlatego ich nie było. Znaczy – mam być pierwszy.

Super Słoik, heros Słój-licy. Gryzłem się z sobą. Słójman. Jar-Man. A już całkiem w prawdzie to może Terrarium: słoik z widokiem na robak, znaczy na ja – TerrarJam albo TerrorJam. Ee, słabe. Przypomniałem sobie niedoszły symbol miasta: mogliby jednak przywiesić ten neon ze słoikami gdzieś przy Wilczej, zainstalowałbym sobie kamerkę, jakby włączyli, to sunałbym im na pomoc. Albo od razu machnąć taki wielki na iglicy pałacu, albo tę lampę taką, jak miał Batman.

Czułem, że wir mnie wciąga, że tkwi w tym jakaś zakręcona jak warsiaski słoik prawda o mnie, o mieście, o Polsce nawet, ale znów nie dawałem sobie rady z tym nadmiarem zawirowań. Zamiast zrozumienia przyszła lękowa drzemka...

Przyśnił mi się, oczywiście, rząd słoików. Po horyzont. Jak te ampułki z ludźmi w matrixie, czy co tam było. Bez kontaktu między nimi, hermetycznie zapakowane pojemniki na próżnię i robactwo. W ułamku świadomości odczułem ulgę, że przynajmniej nie próbują tańczyć. A potem nagle był ten straszny lęk i światło, jakby białoczerwone. I miecz chyba... Obudziłem się zlany potem. Pokój wyglądał niejednorodnie, jak to od niedawna miał w zwyczaju, a dom kultury za oknem wciąż nie zbliżył się do poziomu (pionu?!) nowojorskiego...

W przeciwieństwie do snu, który był wyjątkowo plastyczny, jakby rzeczywisty, ale pozostał dla mnie tajemnicą, moja tajemnicza chandra wyjaśniła się szybko: to stalowy ciężar hyper-ludzkiej odpowiedzialności gruntownie mnie docisnął i zmroził do szpiku, jakbym padł pod ciężarem własnego nadnaturalnych (?) rozmiarów pomnika. JA. Odpowiedzialny za największe miasto w Polsce (bez wchodzenia w konurbacyjną przepychankę ze Ślązakami), bo kopnąłem w kolano kogoś, kto kogoś kopnął w kolano? Mass-kulturoznawca, antropolog sieczki? Specjalista od przekonywania studentów, że zamiast oglądać drugą i trzecią część trylogii Matrix, powinni pierwszą obejrzeć drugi i trzeci raz? Ale była też druga strona. Owo niejasno upragnione bycie Kimś. Niejasno, ale zasadniczo. Zresztą, to wreszcie była realna pomoc, a nie mydlenie oczu przyszłym pracownikom stacji benzynowych i galerii handlowych, zwanych popularnie studentami, za pomocą pseudo-intelektualnych gadżetów: dopiero mając wizję

konkretnej pomocy superbohaterskiej (prawdziwy superbohater z sąsiedztwa, jak Meg Ryan...) wreszcie pozwoliłem sobie zobaczyć moją karierę naukową *for what it really was...* I może to właśnie przesądziło. Żeby się zmotywować do przyjęcia super-powołania zacząłem okrążyć pokój jak mucha złapana w słoik skandując:

„SS – Nie da Cię strzaskać w Warszawie!” „SS – Przydzwoni komu trzeba!” „Tylko dekiel do dna, się złemu da!” „Słoik zaleje stołeczne grzechu dzieje!” „SS – transparentnie ochroni!” „To erlenmajerka? To kolba Schlenka? Nie, to Super-słoik!”

I inne tego rodzaju hermetycznie pakowane frazy. Element prorocki byłby tu może taki, że wkrótce niemal dosłownie pojawiały się one w nagłówkach stołecznych dodatków, a nawet ogólnopolskich gazet. Może też być, że mamrotałem je pod nosem.

Bo potem to już zasadniczo poszło bez analizowania: biłem, straszyłem, groziłem – w moim mniemaniu złym. Żółty pasek pęczył moimi żółtymi trampkami. Biegałem za porwanymi torebkami, podjeżdżałem ukradzionymi samochodami, wybijałem krwiożercze zębki. Stawałem na głowie, by niczym odwrócony słoik wprowadzić w mieście szklarniane warunki. Takie też wyrysowałem sobie w paincie logo – odwrócony słoik, otulający zarys skyline'u Warszawy (pałac!). Zresztą, neon ze słoikami też z automatu rehabilitowano i, choć nie na Wilczej, faktycznie przytroczono wysoko na PKiNie i to tak że nawet z dachu chronicznie dwupiętrowego domu kultury za oknem ja widziałem go wyraźnie zawsze, a goście przy niezłej widoczności po zmroku.

Moja popularność rosła. Byłem m.in.: odpowiedzialny za pokazną debatę rehabilitującą także innych słoików: widzianych już nie jako szkodników, a hm... kontrybutorów, współmieszkańców, a i więcej. Nawet (nie)zwykle niechętnie ludności napływowej środowiska tradycyjne musiały przyznać, że obrońcy Warszawy z samym Witoldem Pileckim na czele często słoikami (czy może – menażkami) bywali. Symbol z odwróconym słoikiem musiał szybko zdobyć znaczną popularność, bo zacząłem widywać go jako nadruk na T-shirtach, jako grafitti z szablonów na murach a nawet, oczywiście bez mojej zgody, na ekranach telewizorów, w idiotycznych reklamach zakładów opakowań szklanych SłójPoleX: „Na eteryczne bitki i cięższy beef Super Słoiki – SłójPoleXa!” oraz „Na Ziarna jest Silos, na resztę – Super Słoik!” Nie wspominając nawet o kilkuset tysiącach facebookowych fanów założonego przez kogoś konta Super Słoik dla Warszawy (które sam też polubiłem), najpopularniejszego z kilku moich fake'owanych przez leszczy kont.

†

Tragiczny okres mojego życia, który miałem później z gorzką ironią nazywać Karnawałem Supersłoikowości, trwał pięć tygodni. I skończył się tak, jak się zaczął: niespodziewanie i dramatycznie. Był bardzo piękny jesiennie złoty dzień wczesnop październikowy. Musiał być piąty, bo wychodząc pomyślałem, że to mój dzień, moja data: pierwsza cyfra 5, ostatnia 5 – SS, super słoik. Wyszedłem z domu, spiesząc się na zajęcia i jednocześnie rozglądając za Złem, żeby mu Zapobiec lub je Pomścić. Byłem może nieco roztargniony, bo zajęcia chciałem poświęcić samemu sobie – solidnie się przygotowałem, powynajdywałem korzystne (choć nierozpoznawalne) zdjęcia w necie

itd. Liczyłem, że uda mi się zestawić los superbohatera z rzeczywistością, że uda mi się nakierować studentów na prawdę, jednocześnie niewiele im mówiąc. Prawda rzeczywiście okazała się klu programu.

Zdaje się, że jako SSłoiik powodowałem już umiarkowaną sensację, ale wciąż nie słyszałem, by ktoś poznał się na mojej tożsamości. Wyspryciłem się o tyle, że nosiłem różne zbliżone elementy ubrania i zamiast się przebierać tylko przyklejałem rzepem na piersi słoikowe logo, które mieściło mi się akurat w tylnej kieszeni spodni. Musiałem się więc czaić, ale byłem w zasadzie zawsze gotowy. Choć na to, co się stało, gotowy nie byłem.

Wchodząc na stację Stadion – rozpoznałem tego typu, złodziejaszka, od którego wszystko się zaczęło. Rozpoznałem go po chodzie – wciąż drobił jak gejsza. Był zresztą w tym samym garniutrze, co wtedy. Co więcej, wyglądał tak, jakby go od tamtego momentu ani razu nie ściągnął. Do tego stopnia, że skrajne literki podrobionego Armaniego się wytarły zostawiając jeszcze żałośniejsze „man”. Był brudny, zabłocony a może i zakrwawiony, zarośnięty, źle ostrzyżony i to do tego stopnia, że przeszło mi przez myśl, że może próbował ostrzyc się sam. Przyglądając się mu z zimną satysfakcją po raz kolejny odczułem ulgę, że moja transformacja nie objęła węchu. Wszedł na peron nerwowo i oglądając się za siebie, skręcił w lewo, chcąc pewnie trochę ukryć się pod schodami. I ja rozejrzałem się za Służbą Ochrony Metra.

Stanąłem za jednym z ostatnich filarów, niedaleko za nim, i analizowałem moje pierwsze trofeum. Zło zostało ukarane i niemal czołgało się przede mną... Przede mną – ale KIM KONKRETNIE?,

przeszło mi przez myśl groźne pytanie. DOBREM? To już było niemal szydercze. A potem przypomniła mi się nagle fraza z ulicznego kato-grajka: „Po owocach ich poznacie.” To był mój owoc, to i neon na pałacu (symbol pustki na symbolu przemocy). Ten wrak, o którym mnie już trudno było myśleć „bliźni”, bo stanąłem dość blisko, by mój zwykły ludzki węch go dosięgał, moje zwykłe ludzkie współczucie...

Przestałem na niego patrzeć, bo zbliżał się pociąg, a jego wjazd i hamowanie, mimo iż nowy, stanowiło pewne wyzwanie dla mojego napiętego słuchu i nieco mnie ogłuszało. Lekko się skuliłem. Gdy znów spojrzałem w jego kierunku – znikł z zasięgu wzroku! Mówi się: coś mnie tknęło. Ale ja naprawdę poczułem wtedy dotknięcie, które wyrwało mnie z za tego słupa. Nie miałem jednak czasu się nad tym zastanawiać, bo teraz już był. Chcąc, czy nie, z rozpacz, głodu, przepicia czy innego powodu – klęczał na torach, a czoło składu było już w połowie peronu, może 50 metrów od nas.

Nie wiem, co się stało. Nie wiem, dlaczego. Skoczyłem po niego. To ostatnia rzecz którą pamiętam. To, brzęk tłuczonego szkła i ten biało czerwony miecz...

Obudziłem się w szpitalu. Czas nie istniał, ale dostrzegłem czerwone rolety, przez które jasno przeświecało słońce. A potem moją matkę i siostrę. Obie ubrane na czarno. Obie z różańcami. Nie modliły się, tylko ustawicznie mamrotały coś o mężce.

A ja już pamiętałem wszystko: moją żonę, małą Amelkę, ten wypadek w drodze powrotnej z Niemiec, światła rozpędzonego TIRa. Pamiętałem wszystko i wyłem z bólu, tarzając się w konwulsjach, niemal wymiotując. Widziałem swoją nędzną psychikę rozpadającą się pod wpływem tragedii, której nie umiałem przyjąć. Wyrzucony telefon. Ukrywanie się przed bliskimi. Widziałem swoje bieganie nocą po mieście, te wszystkie razy, kiedy obity wracałem do domu, a potem układałem slogany reklamowe nieistniejącego superbohatera, wymyślając nawet te, które mi się nie podobały. Wysiłek umysłu, by z każdego ułamka sekundy, ułamka przestrzeni wydobyć maksimum, żeby nigdy nie wrócić pamięcią do ukochanych, które zabiłem. I nienawiść do siebie, która doprowadziła mnie do całkowitego upadku. I tę historię spisywaną stopniowo, żeby wszystko skłamać, przywalić absurdem. I tę straszną książkę, którą kupiłem w chwili rozpacz i czytałem w pociągu, wracając do kraju...

Mój doszczętnie zniszczony garnitur od Armaniego wisiał na oparciu krzesła, a niestarte mimo moich wysiłków literki MAN błyszczały w biało-czerwonym blasku idącym od okna. Chem-trails przelatujących za oknem samolotów miarowo kreśliły krzyż. Chemtrails przelatujących za oknem samolotów miarowo kreśliły krzyż.

Michał Szczurowski